**ABC literacko-artystyczne**

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. | niedziela 27 maja 1934 r. | Nr. 22

Adolf Nowaczyński

# Do Zygmunta Nowakowskiego w Krakowie

Dear Master.

Za „Dzwonek Niedzielny“ z uprzejmą dedykacją serdecznie dziękuję. Wreszcie mogłem przeczytać nowy zbiór Pańskich kapitalnych humoresek, o których tyle pochlebnego nasłuchałem się w Krakowie, a których inaczej, jak w dorocznem pokłosiu zebranych, poznaćbym nie mógł, gdyż na wzięcie do rąk pawet przez rękawiczki (łosiowe) pewnego takiego jednego jedynego dziennika, zdobyć się nie mogę, aczkolwiek od dziesięciu przeszło lat całą prasę wraz ze syjonistyczną, komunistyczną (i brukową) wertować muszę i wertuję. Domyśla się Kochany Pan zapewne, o którym dzienniku jest i będzie jeszcze wielokrotnie mowa, dopóki i w Krakowie nie powtórzy się tragedja i „Upadek Domu Fryze“...

Również domyśla się Kochany Pan zapewne, ile mi sprawił radości Pański „Dzielny Dzwonek“ z takim ładunkiem werwy, młodości, impetu, polotu, lekkości, sarkazmu, z taką wielostronnością i różnorodnością zasięgu zainteresowań i z takiem „nastawieniem i podejściem“ do omawianych „q u a e s t i o n e s q u a e p e n d e n t, jak mawiał Sforka intendent“ (Słowacki). Ostatnie Pańskie feljetonowe pokłosie stoi sobie mocno na tym samym poziomie, na którym stały poprzednie „naręcza“ (zbiorki) Pańskich kapitalnych i kapitulnych kronik i gawęd. To utrzymanie osiągniętego majsterskiego poziomu trzeba zapisać na plus, nie mniej jednak inni mogą to zapisać na minus, jeżeli do Pańskiej indywidualności pisarskiej żywili pretensje górniejsze i rozwojowi Pańskiego talentu stawiali bajkowe horoskopy.

Osobiście należę do tych innych. Będziemy ze sobą szczerzy? Prawda? Od konwencjonalnych superlatywów i wyświechtanych duserów są, jak wiadomo. inni: recenzenci profesjonalni oraz przyjaciele. Ja pozwalam sobie potraktować evenement całkiem serjo i znów jako problem. Inni więc z altruizmu truizmami i frazesami zbędą „nowy tomik“ Nowakowskiego, wykręcając się „sianem z piwnice“ (Rey). Mnie przypadło w udziale obowiązku pisarskiego wynajdywanie plam na słońcach, kożuchów pod kwiat koni, dziur na mostach i dziur na całym... Parnasie (harnasie) i Olimpie (Helikohnie). Tembardziej zaś sprawa musi być postawiona jasno i serjo, skoro rzecz idzie o najpopularniejszego, jak to mówią „Benjaminka“ mego rodzinnego miasta, w którem ja znany jestem już tylko z przegrywanych procesów, jako Krakowa „wróg“ zajadły i nieprzejednany. O najpopularniejszym zabierze tedy głos najniepopularniejszy... „Nieznajomy daleki“ o... faworycie, czyli, jak się tam u nas jeszcze czasami po kątach gada: „herepinklu“.

Postawione więc musi być na początku samym zagadnienie na przyszłość djablo ważne, czy Kochanemu Panu przedewszystkiem wypada i godzi się być nadal członkiem polskiej Tammany-Hall, czy nie godzi? Od decyzji zasadniczej będzie zależał rozwój lub zanik Pańskiej pisarskiej indywidualności. Herr Kules raz musi stanąć na rozstajnych drogach: wóz lub przewóz i „ułatwione życie“, albo walka, wojowanie, ciernie, głogi i... wawrzyny (laury), albo liście bobkowe (czy bobkowskie), rozgłos lokalny, sława kiepurowa, dolary i szterlingi, a po kilku latach (piatiletka) haussy i hosanny, nagle szybkie otrzeźwienie, ocknienie, obudzenie, niesmak, degout, nuda, pustka i przegrana... fallisement...

Otóż po przeczytaniu i tego ostatniego doboru feljetonów, życzę Panu jak najpoważniej natychmiastowego wystąpienia z polskiej Tammany - Hall, zapakowania Larów i Piernatów i przeniesienia się do stolicy, jak się to u was miejscami jeszcze mówi: sakumpak... ciupasem. Radziłem to i swego czasu nalegałem z tem na Boya (ku własnemu utrapieniu) i nie pożałował Boy, że adyrady pięknie usłuchał. I na Kochanego Pana czas już najwyższy (höchste Zeit) (Austeigen!) kolego Nowakowski! „Tu już krzyknęli: dosyć, trzeba to raz skończyć, Bóg nas czy djabeł złączył, trzeba się rozłączyć“!... Trzeba się tylko raz zdobyć na heroinę, czyli moment bohaterski, a wszystko potem ułoży się wprost doskonale. Słynne powiedzenie marszałka Cambrone'a.... tymrazem czy „tą razą“ (w Wieliczce mówią: „tym razą“) będzie wyjątkowo (jak się mówi w Milówce): pasowało... rychtyg pasowało. Nigdy nie należy czekać aż na tę fazę krytyczną, kiedy rozkochane miasto zaczyna o swoim ulubionym adwokacie czy tenorino powtarzać: ależ się szelma powtarza! A niechże go „dunder“ świśnie! Był obraz, ale obłaz!... To już nie to, co tamto!... podobno ma a n g i n a p e c t o r i s?... ano darmo! „bendzie“ inny...

Warszawa czeka. Stolnica przyjmie Pana otwartemi rękami i no... i... tego... i płetwami (Syrena). Warszawa duże miasto, dłużej w nim można popasać i popisywać. Że także dziura? Owszem, ale większa dziura, znacznie większa... Że pół - Krakowa już się tu przeniosło i siedzi? Owszem, są okupanci, są, ale już się znacznie zdegalicjanowali i opolaczyli, a w drugiej generacji niczem nie będą się odróżniali od podbitych i podpitych (z frasunku) autochtonów. Miejsce dla Pana przygotowane, lokal wynajęty, apartamenta wyluftowane (jak się mówi w Bochni) podłoga wypucowana (Tarnów). Remington, Lincoln, Studebacker, wszystko „fertig“ w mieście „pod czapką Monomacha“.

Dlaczego radzę zmianę miejsca pobytu i podaży? Bo przeczytałem ostatni tomik skrupulatnie i po swojemu już tam w... wątrobie widzę nieco piasku, zamiast gryzienia zębami... gryzienie sercem (scherzo)... we wzroku początki daltonizmu i myopji, w powonieniu pewne osłabienie, w smaku. ongi tak dobrym i grymaśnym jakoweś niewybredzanie. Rosół dawniej bywał zawsze esencjonalny, a teraz dopiero m a g g i letniej wodzinie siły dodaje. W sztukamięsie dla gości zadużo gnatów i kości. Jak barszcz, to więcej rury i nie dwa grzyby, ale ani jednego. Do blinów kawior, ale cholerycznie nadwiślański. No i codzień, dzień w dzień w niedzielę coś z wiedeńskich sznycli, a coś z galicyjskiego rozbartla...

Ze smakiem tedy nieco gorzej... Taki pogląd na Litwę i Litwinów (na Czechosłowację i... na... Słowaków) to już nie jest w dawnym dobrym guście. Brzmi djagnoza: osmoza, osmoza, czyli przenikanie, przesiąkanie środowiskiem atmosferą, kolorem i kolosem lokalnym, tempem tajnych detektywów (i gangsterów), mendalita mariana. „Z pałaców sterczących dumnie zstąp luby do naszej chatki!“ Nie można pogłębiać swej indywidualności obcując cieleśnie z gatunkiem: „flach“ (Flach - man als Erzieher). No i wogóle na codzień cała ta, jak mówią w Rzeszowie „bagage“ to nie może wpływać na „courage“ (Jasło). Wcześniej czy później to się musi odbić na zdrowiu, szczęściu, pomyślności, gdyż z jakim się wdajesz, takim się stajesz, niedaleko pada jabłko od jabłoni (na Psiej Górce), a kiedyś weszedł między wrony, to tak krakaj, jak i one (Krakauery).

Złe towarzystwo dobija nawet najsilniejszych, a cóż dopiero organizacje delikatne, bo artystyczne. Przecież Pan czytał, Panie Zygmuncie, co o tej grupie Tammany - Hall mówili ostatnio panowie Prystor i Sławek i jak ich dyskwalifikację krakowskich... „Chicagowian“ sympatycznie przyjęła cała prasa, cała opinja publiczna!

„Z pałaców sterczących dumnie zstąp Luby do naszej chatki!“. Czyż nie lepiej być asem choćby Czerwonego Teamu w stolicy, jak championkiem Żółtej prasy w Ciężkorypinie nawet podwawelskim?

„Z pałaców sterczących dumnie zstąp Luby do naszej chatki“. Pora już się wyzwolić i wyemancypować, strzepnąć pył i „proch“ (kurz) Krakwinkla ze sandałów, wypiąć cyferblat na „naszego Hearsta“ (czyta się: herszta) i rozbić namiot pod Zamkiem czy pod Belwederem. Niema innego ratunku przed trywializacją i wulgaryzacją i przed rozmienieniem indywidualności pisarskiej na najdrobniejsze drobne. Jeszcze jest czas ale już jest po trzech „kwandrancach“ (Jasło) na godzinę dwunastą.

Pyta Pan teraz oczywiście od czego zacząć n u o v a v i t a? Odpowiedzi chyba Pan się domyśla. Od ekspiacji. Za tyle a tyle lat członkostwa w „Tammany - Hall“, a tyle a tyle tomów wielkiej powieści właśnie o... krakowskiej Tammany - Hall. Tylko Pan jeden jest do tej powieści wprost predystynowany, desygnowany. Przeznaczenie, Los, D e s t i n y, Ananke, Mojra wskazują Panu ten jeden kierunek i drogę do wiekopomnego dzieła. Kraj, państwo, mocarstwo domagają się i oczekują od Pana powieści o Krakowie pod berłem „Tammany - Hall“. Nikt z pisarzów nie będzie tak znał kulisów i podziemi Krakowskiej Tammany - Hall i to od wewnątrz. Tylko Pan miał chyba wgląd w ten cały łańcuch afer i geszeftów, a to z gabinetem Piastowców, z Kohlenbaronami na G. Śląsku, ze Stocznią Gdańską, z Harrimanem, z Orbisem, z Radjem warszawskiem, z zapałkami. z pożyczkami, **z kupcami wiedeńskimi, z rzeźnikami krakowskimi, z Krynicą, Rabką,** Gdynią, z Expedycją Polarną, z Rumunami, z Węgrami, z Czechami z... Langsnerem, z... Feniksem... z willą w Cimieres ...z Tatrami... etc. etc. Wy tam w Krakowie dobrze i dokładnie znacie dzieje grzechu kasztelu na Psiej Górce. Opowiada się tam o tem z detalami półgłośno, do ucha. wszędzie, ale jakoś niema żadnego szewczyka z Jamy Wawelskiej, któryby się na Smoka targnąć odważył i dał mu worek z siarką do przełknięcia, żeby Smok „się najadł i pękł“...

Takim workiem ze siarką może być tylko powieść. Z. Nowakowskiego, na którą będzie czekała cała omal bez d r u g i e g o wyjątku uczciwa prasa polska (z żargonową włącznie). Taką powieść z entuzjazmem powitają obaj byli premjerzy pp. Prystor i Sławek, którzy niedawno tak surowo potępili idący z pod Wawelu korupcjonizm.

Rzecz prosta, że taka powieść będzie z natury rzeczy więcej... kryminalistyczna, niż psychologiczna, ale na to już nic poradzić nie można, gdyż to jest związane z tematem, z ludźmi, z gangsterami i detektywami, których „żywoty swawolne“ Zygmunt Nowakowski nam plastycznie a sarkastycznie z właściwym sobie humorem i werwą w galerji „fotek“ (m a d e i n C r a c o v) niebawem odmaluje.

Można sobie już dziś wyobrazić z jaką niecierpliwością cała inteligencja polska i lwia część Elity sanacyjnej będzie oczekiwała prawdy o rozchwytywanej i jak dżuma przez muchy i kocmołuchy roznoszonej, ale ogólnem lekceważeniem, pogardą i odrazą „cieszącej się“ polskiej... „Tammany Hall“... Wszystkich bez wyjątku będzie interesowało, jak powstała ta Malepartja, jak doszło do takiej hegemonji, bezkarności i bezczelności polskiej „Tammany Hall“ napiętnowanej ostatnio przez pp. Sławka i Prystora.

Zygmunt Nowakowski, świetny sarkasta i ironista staje nadspodziewanie jako ten Herkulo na rozdrożu. Albo idąc drogą najmniejszego oporu (ułatwionego życia) skaże siebie dożywotnie na blado błyszczącą karjerę parafialnego prymusa, primasa (cygańskiej orkiestry) prymadonniaka, rodzaj Kiepury pióra... I wtedy pyszny i dumny będzie „se“ promenował z pieskami po Planciech odbierając setki ukłonów, rozdając setki uśmiechów na prawo i lewo i w bok... Albo zerwie się do czynu, do boju, do walki, do Warszawy i zerżnie i zarżnie tych, co na to od piętnastu lat zasłużyli. I wtedy dobrze się zasłuży ojczyźnie i państwu i opinji publicznej i całej uczciwej prasie polskiej (z żargonową włącznie). Z Benjaminka Krakowa dystansując Benjaminka Warszawy stanie się Benjaminkiem Polski.

Mam wrażenie i żywię nadzieję, Panie Zygmuncie, że znudzeni już sukcesami i wawrzynami (bobkami) zbyt łatwemi i przystępnemi zechcecie jednak sięgnąć po laur Olimpijski, po laur pogromcy Smoka. Tylko w ten sposób przejdziecie do potomności.

Jeżeli zaś będzie chodziło o tytuł powieści... zdaje się już czterotomowej, no to w inwencji mocnego tytułu wszyscy Wam tu ochotnie pomożemy. Byle już zatrzasnąć drzwi za sobą, potem wykąpać się w gejzyrze albo w morzu lodowatem, a potem ochoczo wziąć do pisania...

„Marsz! marsz Dąbrowski!“ zdaje się dobry? A może „Pałac Pajaca“? „Cela nr. 13“?...

A. Ruszkowski

# Gwiazda literatury o „Gwieździe Muz“

Ferdynand Goetel, to zamiłowany podróżnik. Ale prócz przygód w dalekich krajach, poszukuje czasem wrażeń, wypuszczając się w wieczornej porze „na miasto“ i, niknąc w jednej z pięknie oświetlonych bram, stanowiących warszawskie wrota do kina. Co tam widział na kilkuset scenach, teraz już całkiem zapomniał, ale ogólny wir wrażeń nie przestał kołować w jego pracowitym umyśle, wywołując szereg refleksyj u artysty, buntującego się przeciw obecnemu poziomowi większości filmów.

Refleksjom tym Goetel dał wyraz w specjalnym artykule, poświęconym „Gwieździe Muz“ *), zwierzając się czytelnikom ze swego dość nieuporządkowanego stosunku do kina, ze swych wrażeń, doznanych podczas zawodowej współpracy z t. zw. „branżą“ filmową, z opinji usłyszanej od pewnego inteligentnego człowieka, jakoby film był tylko „ordynarną rozrywką“ i ze swych nadziei, iż zdanie to nie jest słuszne, ponieważ potencjonalnie tkwiące w tym wynalazku możliwości są tak olbrzymie, że kiedyś stać się mogą wielkim triumfem sztuki. Kiedy? „Proces ten trwać może lata a może i wieki“. Wymaga bowiem zwycięstwa nad królującem obecnie „bezczelnem i zadufanem w sobie geszefciarstwem“. Szybkość zwycięstwa autor uzależnia „od uwagi, jaką zechce mu poświęcić głębiej pojęty społeczny sukces i aktywności, jaką okażą przedstawiciele sztuki, zainteresowani jej nową dziedziną“.

Właśnie od aktywności, i to Pańskiej aktywności również, Szanowny Autorze!

Czemże jest bowiem film sam w sobie, jak nie **środkiem**, instrumentem, zapomocą którego człowiek porozumieć się może z innymi ludźmi, przemawiać do widzów, pokazywać im dowolne osoby lub przedmioty. Od tego człowieka zależy, **co** i **jak** pokazuje. Przeprowadzając analogję ze słowem podanem, powiemy, że film bywa: podręcznikiem, publicystyką, kroniką aktualnych wydarzeń, powieścią, a nawet... poematem.

W piśmiennictwie wiele jest utworów wartościowych, lecz więcej bodaj bezwartościowych lub nawet wręcz szkodliwych. A przecie nikt nie kwestjonuje zaliczenia literatury pięknej do dziedziny sztuki, co zresztą bynajmniej nie znaczy, aby każda książka była dziełem artystycznem. Chodzi tylko o jaknajwiększą ilość piszących — artystów, zarazem zaś o jaknajwiększą ilość interesujących się literaturą piękną — czytelników.

Goetla pasjonuje oczywiście przedewszystkiem zagadnienie filmu rozrywkowego, stanowiącego podstawę programów kinowych dla szerokiej publiczności. Odkładając zatem do innej okazji dyskusję o pozostałych rodzajach filmu, ustosunkujemy się do powszedniego chleba kinowego, do artystycznej wartości obecnego jego standart'u. W sformułowaniu autora „Serca Lodów“ pytanie to brzmi:

„Cóż znaczy wobec tego i czemu służy ta najmłodsza z muz? Co myśleć o niej, i jak ją umieścić w naszych pojęciach o sztuce i twórczości artystycznej?“

Już w tem sformułowaniu mieści się słuszne przyznanie przez Autora, że t. zw. „Filmja“ weszła do rodziny muz. Jak ją tam umieścić? Stanowczo na prawach równego, z **natury** swej ma ona bowiem równe, jeśli nie dalej idące możliwości artystyczne. Co ona znaczy? Znaczy, że dotychczasowe środki wypowiadania się nie wystarczały człowiekowi, że szuka on nowych form uzewnętrznienia swych myśli i przeżyć, że wszechstronny instrument znalazł w filmie, który też dzięki temu zdobył sobie znaczenie i wpływ na masy olbrzymi, niedość jeszcze oceniany. Czemu służy najmłodsza z muz? Nie waham się powiedzieć, że przedewszystkiem rozrywce. Ale **nietylko** rozrywce. Bawiąc, umie ona zarazem kształcić zmysł piękna, rzucać ziarno idei, wzbogacać widza w wiadomości o innych krajach, o innych epokach, o innych psychikach. Robi to zaś w sposób artystyczny, bo nie zapominajcie, że piszę o **muzie**, a więc o tych tylko filmach, które w dziedzinę sztuki wkraczają. I nie zgodzę się nigdy z ludźmi, którzy pragną negować istnienie filmów, będących prawdziwemi dziełami sztuki.

Istnieją zagranicą specjalne kina, których repertuar składa się wyłącznie z filmów wybitnie artystycznych. I mają „pełno!“ Robią dobre interesy! Tu dochodzimy do drażliwej a istotnej sprawy — stosunku do względów finansowo - handlowych. Cały artykuł Goetla tchnie duchem walki artysty z businessman'em, tak, jakby interesy te były nie do uzgodnienia. Otóż ta sprawa wymaga jednak głębszego zastanowienia. Przecie obok rekinów finansowych istnieją niewątpliwie ludzie, pragnący obracać kapitałem w sposób zyskowny, ale uczciwy i korzystny dla ogółu. Ten rodzaj kapitału pójdzie na solidną filmową robotę, jeśli będzie miał widoki zarobku. Zarobek zależy od tego, czy film będzie miał powodzenie, czyli... publiczność! A więc kapitalista finansuje obraz taki, jaki jego zdaniem ma szanse przyciągnięcia publiczności. Wiemy, że dziś gros publiczności stanowią sfery mniej wymagające pod względem artystycznym, a raczej szukające „ordynarnej rozrywki“, o jakiej pisze Goetel.

Przejrzyjmy jednak szeregi t. zw. inteligencji, która mogłaby stanowić poważne oparcie dla produkcji filmu artystycznego. Cóż widzimy? Wielka część tej warstwy wogóle nie chodzi do kina, i to nietylko dlatego, że nie ma pieniędzy, lecz i dlatego, że zraziła się do kina w jego obecnej postaci. W tej sytuacji czekanie z założonemi rękami, „niepokojenie się“ artystów problemem filmu, nie wywrze żadnego wpływu na zmianę stosunków.

Trzeba stworzyć podstawę finansową artystycznej pracy filmowej przez zorganizowanie publiczności, pragnącej znaleść w kinie rozrywkę kulturalną, wzbogacającą duszę ludzką, nie zaś zabijającą jej głos stekiem bredni. W tej pracy organizacyjnej, która odbywać się powinna przy czynnej i kierowniczej pomocy przedstawicieli sztuki we wszystkich większych skupieniach ludności, olbrzymią rolę odegra prasa, tak słusznie dziś, jeśli chodzi o przeciętne polskie stosunki, oskarżona przez Goetla o bezmyślność w dziedzinie filmu. Równie ważną rolę mają tu do odegrania stowarzyszenia miłośników filmu, które mogą wywrzeć ogromny wpływ na gusty publiczności, jak o tem przekonywa praktyka w krajach, gdzie stowarzyszenia te się należycie rozwinęły, np. w Anglji.

Jeśli jednak praca ta ma być naprawdę skuteczna, trzeba, aby p. Goetel i inni wybitni artyści doceniający znaczenie filmu, wyszli z pozycji krytycznych obserwatorów, pozostawiających arenę walki o artyzm kina — atletom, i wzięli sami czynny udział w zapasach, aby je nawet inicjowali, gdzie nie zostały zapoczątkowane. Filmu artystycznego nie doczekamy się prędko, jeśli wysiłki nasze ograniczymy wyłącznie do krytyki filmu „sprofanowanego“, pozostawiając innym (komu?) staranie o pracę konstruktywną.

*) „Gazeta Polska“ z 9 maja b. r.

Andrzej Mikułowski

# Pisarze angielscy o kryzysie

Londyński miesięcznik literacki „The Bookman" ogłosił w majowym numerze wyniki ankiety pod tytułem „Artysta, a świat dzisiejszy", w której zabrali głos przedstawiciele świata literackiego Anglji. Ankieta składała się z następujących trzech pytań:

1) Czy może pan jako człowiek uznać dzisiejszy stan rzeczy, nawet w naszym kraju, jako w całości swej nieznośny dla ludzi?

2) Jeżeli nie, czy może pan jako artysta zachować obojętność wobec tego stanu rzeczy?

3) Jeżeli pan nie może, jakby pan zdefinjował poprostu, w paru słowach, możność zastosowania swej sztuki do istniejących warunków?

W ankiecie wzięło udział osiemnastu pisarzy, przeważnie zresztą w Polsce nieznanych. Współczesna angielska literatura jest poza zasięgiem naszych wiadomości. Dotąd jeszcze uważamy Shawa za przodującego pisarza swego kraju, gdy w Anglji nikt już nie zwraca uwagi na jego kazania. Dotąd podniecamy się rewolucyjnością starego burżuja Wellsa i „największego pisarza Anglji" — jak go u nas nazywają — nieboszczyka Galsworthy'ego.

Lawrence zajrzał do nas na chwilę jako „Kochanek Lady Chatterley"; debiut był nieszczęśliwy, bo go skonfiskowano i na tem się też skończyło. Nowele „England, My England" przeszły bez wrażenia. Kiedy je przetłumaczono, nie wiedziano jeszcze, że Lawrence jest pisarzem „śmiałym". Z naprawdę współczesnych ciężar reprezentowania najbogatszej obecnie literatury na świecie spadł na barki jedynego Aldousa Huxleya, intelektualisty i ironisty, krytyka współczesnej Anglji i to tego, co w niej najmniej angielskie — inteligencji.

Tymczasem mamutów i propagandzistów nie zaproszono do wzięcia udziału w ankiecie. Autor jej, Geoffrey West, pisze, że nie interesowało go zdanie tych, którzy, jak Wells, Shaw, setki razy bezpośrednio się na te tematy wypowiadali; ani też tych, którzy stale, jak Huxley, propagują w swych dziełach pewne ideje i w ten sposób zapoznają ogół ze swemi poglądami. Ci nie mogliby powiedzieć nic nowego. Ciekawe natomiast będzie dowiedzieć się, co sądzą o tych sprawach ci, którzy nie piszą społecznych powieści, ani utopij i są poprostu artystami.

Odpowiedzi też przyniosły sporo interesującego materjału. Dwoje tylko zapytanych odmówiło zdradzenia swego stanowiska: Jeden, to nasz znajomy, Somerset Maugham, który wypowiedział się z charakterystycznym cynizmem:

„Dlaczego zawodowy pisarz, który piórem zarabia na życie, miałby wołać, że rzeczy, o których pisze, śmierdzą?"

Z innego powodu nie wypowiada się Margaret Kennedy:

„Nie lubię obecnego zwyczaju traktowania powieściopisarza jako jakiegoś amatora - kaznodzieję, ekonomistę, czy filozofa. Możliwe, że znajdzie się jeden, czy dwóch pisarzy, których poglądy na naszą ogólną strukturę społeczną są godne uwagi, ale jeżeli chodzi o ogromną większość, do której i ja się zaliczam, rzecz się ma inaczej".

W stanowisku tem jest wiele racji. Często prawdziwy artysta bardzo kiepsko osądza sytuację polityczną, czy nawet kulturalną. Talent niezawsze idzie w parze z intelektem, a nawet rozumem, jak nieraz mamy możność się przekonać. Widać to zresztą i z szeregu odpowiedzi omawianej ankiety.

W dość interesujący sposób różnią się między sobą sądy tych, którzy na pytania odpowiedzieli. Jeżeli chodzi o ocenę istniejącego stanu rzeczy, mamy tu całą skalę różnych sądów: A więc z jednej strony stoją optymiści, jak znany w Polsce Hugh Walpole, Clifford Bax i R. H. Mottram, którzy twierdzą, że nigdy jeszcze nie było tak dobrych warunków, jak obecnie, a w obecnej sytuacji nigdzie nie jest tak dobrze, jak w Anglji. Z drugiej strony jest obóz pesymistów — o wiele większy, bo grupujący osiem nazwisk. Ci stanowczo odpowiadają, że warunki są nieznośne, jednakże z różnych punktów widzenia, jak później zobaczymy. Pośrodku stoją umiarkowani, którzy bądź dyplomatycznie odpowiadają, że sytuacja widocznie jest znośna, skoro ją znosimy (Forrest Reid), bądź, że nigdy niema takiej sytuacji żeby istniejący stan rzeczy był w całości nie do zniesienia (Rhys Davies, William Gerhardi, Dorothy Richardson). Zawsze istnieją szczęśliwi, obok nieszczęśliwych. Wreszcie Charles Morgan odpowiada, że warunki zewnętrzne są, rzeczą obojętną. Jedyną wagę mają nieprzemijające rzeczy ludzkie: miłość, poezja, kontemplacja i śmierć, a te są niezależne od takiego, czy innego stanu rzeczy. Istnieją zawsze.

To stanowisko jest charakterystyczne i, choć przez nikogo innego tak skrajnie nie wypowiedziane, dzieli wszystkich biorących udział w ankiecie na dwie wyraźne grupy. Punkt ciężkości światopoglądu pisarzy leży nie w pierwszem pytaniu, tylko w drugiem i trzeciem, które zawierają kwestję stosunku artysty, jako twórcy i jego sztuki do życia. I tu dają się wyróżnić właśnie owe dwie grupy, dwa obozy stające na stanowiskach odmiennych, między nimi zaś obóz umiarkowanych, a właściwie obojętnych. W nim są „apolityczni", ci, którzy uważają, że przedmiotem sztuki jest nie życie, tylko piękno i jedynem zadaniem artysty jest jego sztuka. Do tych należy dramaturg i powieściopisarz A. A. Milne. Pisze on, że sztuka wymaga skupienia, a sprawy bieżące zbyt rozpraszają pisarza. Dlatego też, pracując nad swemi dziełami od szeregu miesięcy odciął się zupełnie od spraw bieżących i ma zamiar tę politykę życiową kontynuować.

„Sztuka jest świadectwem świętości ducha indywidualnego i świadectwo to bardziej jest potrzebne dziś, niż kiedykolwiek".

Hugh Walpole pisze, że zadaniem sztuki jest tworzyć dzieła nieprzemijające, a nie służyć jednej epoce. Dlatego artysta nie może być propagatorem, nie może też jako artysta interesować się specjalnie jakiemś przemijającem zagadnieniem zewnętrznem politycznem, czy społecznem.

Ci jednakże są w mniejszości. Większość stanowią artyści zajmujący aktywną postawę w stosunku do bieżącego życia, którego część stanowią, świadomi swojej roli w tem życiu. I tu wyróżnić można dwa zasadniczo różne punkty widzenia, dwie zasadnicze postawy. Zaryzykowałbym twierdzenie: starą i nową, choć oczywiście ta nowa jest najstarsza, tylko na przestrzeni jednego pokolenia częściowo zapomniana, a w każdym razie usunięta w cień.

A więc z jednej strony stają „społecznicy", „politycy", którzy chcą przebudowywać świat — budować nowy porządek — wychowywać człowieka przyszłości — pracować dla ludzkości. Sami zaś są wychowankami szkoły H. G. Wellsa i innych jeszcze szkół, których sam Wells jest wychowankiem. Cechuje ich postawa „ogólnoludzka" — „wszechświatowa" — „humanitarna" — i tak dalej.

Do tych należy przedewszystkiem J. D. Beresford, który pisze:

„Uważam, że obecny stan rzeczy jest nie do zniesienia, jako mechaniczny, rządzony przez inteligencję skierowaną ku egoizmowi, lub zaspokojeniu żądzy władzy. Obecnie tendencje te jeszcze się zaostrzają przez ową masową sugestję, która jest narzędziem faszyzmu, hitleryzmu i bolszewizmu".

Wierzy, że obecny stan rzeczy jest punktem kulminacyjnym kryzysu, a po straszliwej wojnie europejskiej, która niedługo nastąpi, ludzkość zrobi wielki krok naprzód w swym rozwoju i człowiek uzyska pełną władzę nad duchem i ciałem. Drugi z tego obozu — Gerald Bullett — pisze, że sztuka może sprowadzić „zmianę w sercu" człowieka, która sprawi, że zrozumie on nareszcie wspólny interes ludzkości. Albowiem nie brak inteligencji, czy wiedzy nie pozwala nam na wkroczenie w nowy wiek złoty, ale brak odwagi cywilnej, egoistyczna chciwość i brak rzutkości duchowej. Problemy pokoju międzynarodowego i sprawiedliwego rozdziału własności dałyby się rozwiązać, gdybyśmy wszyscy mieli dobrą wolę. Pomóc w tem dziele może sztuka.

Do tej samej szkoły należy niewątpliwie Louis Golding, choć stwierdza, że sztuka nie może być narzędziem propagandy, bo nie jest tworzona świadomie. Jednak w odpowiedzi jego na pierwsze pytanie ankiety odnajdujemy ten sam patos deklamacji, znany nam skądinąd:

„Równie nie do zniesienia jest dla mnie pusty żołądek w Cardiffie, jak w Dortmundzie, czy w Osace. Tragedja leży w tem, że samo ciągłe zniesienie cierpień wytwarza w nas gruboskórną tolerancję we wszystkich tych wypadkach, które, choć krzykre, nie zagrażają istniejącemu systemowi".

Ciekawe jest zestawienie tego ostaniego sądu z wypowiedzią w tej samej sprawie przedstawiciela drugiego punktu widzenia, Williama Gerhardi'ego:

„Gdybym miał myśleć o wszelkiem cierpieniu, jakie istnieje na świecie i uważał za swój obowiązek leczenie go, nie byłbym nigdy w stanie spać spokojnie. Ale nie wie się o wielu rzeczach i próbuje się nie myśleć o nich. Ograniczam się więc do tych, którzy znajdują się w mem najbliższem sąsiedztwie i to tylko do tych, którzy wzbudzają we mnie jakieś uczucia. Na nieszczęścia w Chinach patrzę spokojnie, w nadziei, że są tam na miejscu Chińczycy, pragnący pomóc tym, z którymi są związani węzłami miłości, przyjaźni, czy pociągu naturalnego".

„Cóż za barbarzyństwo! — wykrzyknie niewątpliwie p. Golding, czytając te słowa. Jednakże patrząc spokojnie na całą sprawę, trudno mu przyznać rację: on „cierpi za miljony", — nadmiar cierpienia tak go znieczula, że przestaje cierpieć wogóle, chyba, że jego bezpośredni interes jest zagrożony. Gerhardi cierpi, widząc nieszczęścia tych tylko, których kocha. Ale przynajmniej nietrudno nam wierzyć, że cierpi naprawdę.

Podobne jest ustosunkowanie się tych, którzy mają ten sam, co Gerhardi, punkt widzenia. Tu najwyraźniejsze stanowisko zajmuje Claude Houghton. Według niego obecny stan rzeczy jest nie do zniesienia i artysta nie może pozostać wobec niego obojętny.

„Wiem — pisze — że dziś wielu ludzi mogłoby powiedzieć: Komu u djabła potrzebny dziś artysta? Ludzie nie mają co jeść, nie pracują i mieszkają w norach. Precz ze sztuką! Dajcie nam chleba! Odpowiedź moja jest taka: Kiedy ludzie mają co jeść, pracują, porządnie mieszkają, problem życiowy dopiero się zaczyna. Czy byłoby to coś takiego wielkiego z wszystkich ubogich zrobić nuworiszów? Cóż kiedy ludzie tylko bogaci również „nie mają co jeść" i „mieszkają w norach". To, co wybawi ubogich od ich ubóstwa, wybawi również bogatych od bogactwa. Wierzę, że sztuka jest wielkim czynnikiem w tem dziele".

Zadaniem sztuki — jest zajmować się wielkiemi rzeczami ludzkiemi — pisze Charles Morgan. Nawet największe społeczne nieszczęścia nie są jeszcze nieszczęściami największemi — pisze Geoffrey Dennis. — Tragedja człowieka leży w dualizmie zła i dobra w jego duszy i walce tych dwóch czynników, której jest ofiarą. Ta wielka tragedja jest przedmiotem sztuki. — Sztuka ma wielkie znaczenie, kształcąc w ludziach pierwiastek „niewinności" — pisze Dorothy Richardson.

W tych słowach jest wołanie o powrót do wielkich prawd, wielkich zagadnień, wielkiej sztuki. Sztuka nie powinna służyć propagandzie podwórkowych haseł, ale wnikać w najgłębsze problemy życia człowieka. Najgłębsze i największe. Nie konflikt między kompleksem X. a kompleksem Y, ale wielka tragedja zmagania się dobra i zła, miłość, obowiązek, poświęcenie, śmierć, bohaterstwo, wszystkie te problemy odwieczne, a zawsze nowe, są przedmiotem prawdziwej sztuki. Wyrastają na podłożu każdych warunków ekonomicznych i społecznych, w każdym narodzie i w każdym przybierają inne postacie. Wielkość ich zaś leży w ich prawdzie. Prawdziwa jest miłość do tych, których widzimy i znamy, a kłamie ten, który mówi, że jednakowo patrzy na nędzę w Cardiffie i Tokio. Chyba, że nazywa się Louis Golding — czy też Lewi Goldman.

# Tydzień książki

**WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH**

**BEKIER J. KS.: Dzień matki.** Materjały na wieczornicę czerwonokrzyską dla kół młodzieży. 8° str. 48. Kalisz 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.—.

**BUKOWSKI M. PROF.: Wypracowania z literatury polskiej.** Cz. III. Młoda Polska. 8° str. 58. Łódź 1934. A. F. Mittler. Zł. 1.20.

**CZERWIŃSKI S. I PRZYJEMSKI: Prawo karne w świetle orzecznictwa 1.VII.1933 — 1.IV.1934.** 8° str. 84. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 2.50.

**DOBACZEWSKA WANDA: Zwycięstwo Józefa Żołądzia.** 8° str. 349 Wilno 1934. Zawadzki. Zł. 4.—.

**GOLDING L.: Ulica Magnoliowa.** Powieść, z ang. przełożyła R. Centnerszwerowa. 8° str. 400. Warszawa 1934. „Rój". Zł. 3.—.

**HEIMAN-JARECKI A. I LAUTERBACH ST.: Przemysł anonimowy.** 8° str. 72. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 2.—.

**HOENE-WROŃSKI: Propedeutyka mesjaniczna.** Cz. I. Przełożył C. Jastrzębiec-Kozłowski. 8° str. 47. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 2.—.

**JUNOSZA-SZANIAWSKI WŁ.: Ogień swatem.** Obrazek sceniczny w 1 akcie. 8° str. 48. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.30.

**KOMOROWSKI WIKTOR: Tabele składek za ubezpieczenia społeczne w świetle ustawy z dn. 28.III. 1933.** 8° str. 19. Siedlce 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.—.

**KULIGOWSKI F. KS.: Cześć Najświętszemu Sercu Jezusowemu.** Krótkie czytania czerwcowe. 8° str. 120. Płock 1934. Bracia Detrychowie. Zł. 1.—.

**LOTHAR ERNEST: Młyn sprawiedliwości.** Powieść. Przekład M. Tarnowskiego. 8° str. 364. Warszawa 1934. J. Przeworski. Zł. 6.—.

**ŁAKOMY Z.: Obrazki z powstań górnośląskich.** 8° str. 75. Warszawa 1934. Główna Księgarnia Wojskowa. Zł. 0.90.

**MASNY IGNACY DR.: Rozważania ekonomiczne.** Kryzysy, przeludnienie, pieniądz. 8° str. 25. Kraków 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 0.50.

**MROCZEK W. Z.: Z życia szkoły.** 8° str. 45. Kraków 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.—.

**PĄCZEWSKI LEON DR.: Przebudowa korporacyjna Italji.** 8° str. 91. Warszawa 1934. Dom Książki Pol. Zł. 2.50.

**PLUCIŃSKI MIECZ.: Budowa kajaków.** Kajak żaglowy „P 7". Opis i rysunki. 8° str. 22. Warszawa 1934. Gł. Księgarnia Wojskowa. Zł. 1.50.

**ROMAŃSKI M.: Sprawa Nr. 777.** Rena. Powieść. 8° str. 254. Warszawa 1934. S. Cakrowski. Zł. 6.—.

**ROSSET E.: Estonja w przeszłości i w teraźniejszości.** Odczyt. 8° str. 24. Łódź 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.—.

**SALIT S. INŻ.: Kolonja Izaaka.** Wieś powiatu sokólskiego. 8° str. X, 104, 2 tabl. i tabela. Warszawa 1934. Księgarnia Rolnicza. Zł. 2.50.

**Siedem opowieści.** Cykl nowel z życia żołnierskiego z 17 rys. A. Horowicza. 8° str. 161. Warszawa 1934. Gł. Księgarnia Wojskowa. Zł. 2.50.

**STIEBER Z.: Stosunki pokrewieństwa języków łużyckich.** 8° VII str. 98 z 3 mapamai. Kraków 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 6.—.

**Wolnomularstwo w świetle encyklopedji.** Wypisy. 8° Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej Zł. 5.—.



Adam Czartoryski
z Rokosowa

# Wsi spokojna, wsi wesoła...*)

Wstał śliczny dzień czerwcowy nad Głodową Wólką. Niebo bez chmurki zapowiadało czas pogodny, a nawet upalny. Podwórze zapełniała woń akacyj, kwitnących jasno-różową ścianą od strony parku i śpiew trzech, czy nawet czterech słowików, urządzających swój koncert od samego świtu.

Nastroje mieszkańców dalekie były od tego sielskiego obrazu. Jakby nie widząc piękna otaczającej natury, wszyscy byli w złych humorach. A mieli też o co! Robotnicy, niewypłaceni od szeregu miesięcy, szemrali głośno przeciw dworowi. W niemniejszych opałach znajdowała się administracja majątku. Pan Sikora, tytułujący się „dyrektorem", grał na zwłokę przez całą zimę i wiosnę i utrzymywał ludzi w karbach, używając raz wybuchu gniewu, to próśb, to solennych obietnic, nigdy niedotrzymywanych: wszystkie te środki wyczerpały się obecnie i dyrektor nie pokazywał się przy ludziach, nie chcąc narażać na szwank swej powagi. Cały ciężar bezpośredniego kontaktu spadł na barki praktykanta, pana Serdaczka, studenta z Dublan. Twarda rzeczywistość oderwała go od ukochanych doświadczeń gleboznawczych i zmusiła do ścierania się z niezadowolonymi robotnikami. Niemniej cierpiała kasjerka, panna Emma. Od jesieni przeszła ona niezliczoną ilość rewizyj książek i kasy, musiała podpisać tyle protokułów i złożyć tyle zaręczeń w miejsce przysięgi, że była stale zdenerwowana; gdy tylko posłyszała warkot motoru, zdawało się jej, że znów jedzie komornik i musiała brać środek uspokajający. Ogólny niepokój nie oszczędzał i najwyższego stopnia hierarchji wiejskiej, t. j. dworu. Najmniej oczywiście cierpiał ś. p. Hipolit Węgorzewski, który z całym egoizmem, do jakiego tylko mężczyźni są zdolni, przeniósł się na tamten świat w końcu r. 1930, akurat na samym początku kryzysu. Odszedł, unosząc nietkniętą opinję „dzielnego fachowca, niestrudzonego pioniera oświaty zawodowej wśród naszego ziemiaństwa", jak pięknie ktoś napisał w „Dzienniku". Chcielibyśmy widzieć jego fachowość dzisiaj! Tak mruczał pan Antoni Węgorzewski, bratanek zmarłego, borykający się od roku z pozostawioną spuścizną. Pomruki te wywoływały oburzenie wdowy, pani Klementyny, która nie pozwalała wyrażać się źle o ukochanym Hipciu.

Tego ranka dziedziczka weszła do gabinetu i rzuciła okiem na biurko: stos protestów wekslowych, pozwów sądowych i innych nieprzyjemnych papierków leżał nieruszony od wczoraj.

— Marcinie! Dziedzic nie wrócił?

— Jeszcze nie, proszę Jaśnie Pani — odpowiedział służący.

— Mój Boże, co też ten Antoś wyprawia! Już tydzień jak wyjechał i nie daje znaku życia. I to kiedy? Gdy sekwestrator nie wychodzi prawie z podwórza. Inaczej Hipcio gospodarował, inaczej, siedział w domu, po sądach się nie włóczył!

Dźwięk dzwonka na podwórzu, oznajmiającego śniadanie, przerwał jej rozmyślania. We dworze też podano kawę. Naraz przez okno doszedł zgiełk licznych głosów: najpierw zbiorowy szum, potem pojedyncze klątwy i wyzwiska. Przypominało to głosy za sceną w teatrze markujące obecność wzburzonego tłumu w sztukach rewolucyjnych. Ale pani Klementyna dawno już w teatrze nie była, przyjmowała zato parę razy robotników, dopominających się o należności, toteż odgadła odrazu naturę tych odgłosów.

— Niechno Marcin zobaczy, co się tam znowu dzieje!

Wrzawa ucichła równie szybko, jak była wybuchła, a Marcin wrócił po chwili.

— Przyszli o pieniądze do pana dyrektora. Jeśli dziś nie dostaną, to nie pójdą więcej do roboty. Pan dyrektor kazał im przyjść na południe.

Przed kasą stał pan Sikora w towarzystwie praktykanta. Dyrektor pogwizdywał tak niefrasobliwie, że Serdaczek nie mógł wstrzymać się od pytania:

— Ta i cóż, że poszli, panie dyrektorze, ta na południe także nie będzie pieniędzy!

— O dziewiątej rano się martwić, co będzie na południe! Też sobie znalazł kłopot! — zawołał dyrektor — pamiętaj pan moje powiedzenie: ino przeciągnąć, ino przeciągnąć!

Serdaczek wzruszył ramionami i poszedł do buraków: nie rozumiał takiej filozofji, tego nie uczono w Dublanach!

Dyrektor odebrał parę telefonów, obszedł śpichlerz (pszenica zajęta przez Kasę Chorych) i warsztaty (traktor obłożony aresztem przez Ubezpieczalnią Krajową, z którą procesuje się firma Zjednoczone Grajcarki, mające na tymże traktorze ustawowe prawo zastawu spowodu niezapłaconej ostatniej raty), zajrzał do chlewów (licytacja przed tygodniem odroczona spowodu podejrzenia czerwonki), obszedł resztę gospodarstwa i wrócił do kasy.

— Stachu!!! — zagrzmiał, aż echo odpowiedziało w podwórzu — bryczkę podawaj! Trzeba raz zajrzeć w pole.

Ale w chwili, gdy bryczka stanęła przed kasą, zabrzmiała wesoła trąbka, i szara podłużna limuzynka zatrzymała się na środku podwórza. Pan Sikora wiedział, co to znaczy.

— Ja wyszedłem pieszo do buraków. Te konie muszą iść po doktora. W razie czego jestem u siebie. Pani rób swoje: zajęcie bezowocne, dziedzica niema, rozumie pani? — komenderował, opuszczając pośpiesznie pokój.

— Oj rozumiem — stęknęła panna Emma, sięgając po flaszeczkę.

Pan Sikora rozparł się w fotelu klubowym (spadek po wuju proboszczu) i sięgnął po najnowszą powieść Marczyńskiego, pożyczoną od pana Serdaczka. Nie zdążył jednak przeczytać strony, gdy zapukała kasjerka.

— Panie dyrektorze, przecież to dziś licytacja traktora!

Piorun z jasnego nieba!

— Co, dziś? To czemu mi pani nie przypomniała?

— Jakto, przecież wczoraj jeszcze mówiłam. Pan Serdaczek świadkiem!

Nie był czas na spory. Należało działać. Jagusia zaniosła do kasy przepyszną, prawdziwą arabską kawę (tylko dla komorników!) i stos „bułeczek z obłożeniem". Stach pojechał w pole, wioząc instrukcje dla praktykanta; rozdano też rozkazy w podwórzu. Potem nastała cisza i pan Sikora wrócił do ulubionej lektury.

Komornik sądowy, pan Szypułka, zjadł i wypił wszystko, co mu podano, podziękował, wreszcie oświadczył, że bardzo mu przykro, ale musi przystąpić do czynności. Traktor, jak wiadomo, zajęty został na sąsiednim folwarku, w Smardzewicach; tam więc naznaczona jest licytacja, tam czekają przedstawiciele firmy Zjednoczone Grajcarki oraz ewentualni nabywcy, tam zatem należy przewieźć maszynę. Licytacja wyznaczona na 10-tą, niema chwili do stracenia.

Teraz jednak wynikła cała serja trudności. Kasjerka chciała wręczyć komornikowi klucz od szopy, w której mieścił się traktor. Tymczasem okazało się, że klucz, który zawsze wisiał o tu, na tym gwoździu, znikł, poprostu ulotnił się, jak kamfora. Kto to śmiał uczynić? — denerwuje się panna Emma. — Ach, to pan Serdaczek; ci z „ciepłych krajów" zawsze wprowadzają zamieszanie. Posłano po praktykanta. Gdy nie nadchodził, komornik postanowił wezwać kowala do otwarcia drzwi. Ale i kowala nie można było znaleźć. Poszedł samowolnie do domu. Cóż robić, ludzie niewypłaceni, nie można tak bardzo przestrzegać dyscypli-

*) Rzecz dzieje się w województwie poznańskiem. Stąd w djalogach użyto wielu germanizmów i wyrażeń prowincjonalnych.

L. Ciechanowiecka

# Biali i Czarni

Gdyby Jerzy Giżycki *) urodził się pięćset lat temu, toby spewnością odkrył jakąś Amerykę, albo zostałby władcą dalekiej wyspy. Jest śmiały, przedsiębiorczy, inteligentny i — za ciasno mu jest na świecie. Ten urodzony koczownik włóczy się już od lat po obcych krajach, był kolejno, golddiggerem, trapperem w Alasce, cowboyem w Meksyku, kręcił filmy w Afryce (Krzysztof Kolumb w dwudziestym wieku robiłby to samo). Podpatrywał okiem objektywu dziwy dżungli i dziewiczych lasów, a w wolnych chwilach notował reporterskim watermanem swoje wrażenia. Powstała dzięki temu znakomita powieść podróżnicza.

Czyta się ją, jak to mówią, „jednym tchem". Chwilami odnosi się wrażenie, że oglądamy barwny film afrykański, nie mający zresztą nic wspólnego z fałszowanemi „Made in Hollywood", filmami w rodzaju „Afryka mówi" czy „Trader Horn".

Giżycki jest dziwakiem — mówi prawdę. To nie przystoi myśliwym i podróżnikom. To się nie opłaca. Książki, zawierające mocną dozę blagi, rozchodzą się, jak groszowe bułki. A taki Giżycki nie mówi, że trafiał każdego krokodyla w lewe oko na odległość kilometra, że jeździł na lwie i że ludożercy odgryźli mu łydkę. Na jego kamjon nie spadały z baobabów chyże pantery i dziesięciometrowe pytony, ani razu nie znajdujemy w jego pamiętniku opisu w rodzaju tego, który przed kilku laty pojawił się w „Gazecie Kaliskiej". Była tam mowa o wędrówce przez puszczę, pełną czerwonych mrówek

...„straszliwych owadów właściwych tym puszczom, których potężne szczypce ostre są jak brzytwy, a żarłoczność nie zna miary. Potwory te zagryzały dosłownie żywcem biednego podróżnika i maszerowały obok niego dwiema kolumnami z których jedna rzucała się na rany, a druga obżarta i zakrwawiona powracała do mrowiska"...

Nie — Giżycki maszeruje przez dżungle, puszczę, brussę i pustynię saharyjską (od Bamako, Bobo - Diulasso. Wuagadagadu aż do Timbuktu) z fantazją i nieco wyniosłym uśmiechem. Ten sympatyczny Polak, zagubiony w ponurej dżungli, stykający się z murzynami, których i tutaj dosięgła drapieżna łapa kapitalisty europejskiego, ani na chwilę nie ulega fatalnemu wpływowi tropikalnego klimatu, nie zatraca jasnego sądu, chyba tylko wtedy, gdy mowa o... misjach. Ale o tem potem. Nie dały mu rady ani febra, która nim trzęsła, ani mikrob „kafardu", pod którego wpływem „biali" marnieją i staczają się na dno upodlenia. Nie przestaje go razić niechlujstwo i rozluźnienie obyczajów, cechujące „kolonjalów" — uczciwie i śmiało zabiera głos w obronie czarnych, ilekroć widzi, że się ich prześladuje.

„To gratka nielada — sam mówi w jednym z rozdziałów — biały, który nie przychodzi zbierać podatków, brać rekruta, lub nacinać ramiona dla jakichś niepojętych, a więc podejrzanych praktyk szczepienia, lecz człowiek strzelby, który, kto wie, może da murzynowi kawał upragnionego mięsa".

Więc go lubią — i Krumeni, i Peulhowie i Tuaregowie...

Krokodyle, na jego widok, rzucały się w nurt wodny, szympansy waliły się w piersi, niby w tamtamy; płoszył pan Giżycki hipopotamy i wielkie jaszczury i uwieczniał je na taśmie filmu, nie zwracając uwagi na czającą się śmierć, niepomny na ostrzeżenia wiernych boyów, którzy wkońcu uwierzyli, że biały musi mieć potężne grigri, skoro wychodzi obronną ręką z każdej opresji. A nieraz znajdował się w opałach nielada — tylko, że mówi o tem z takim sanfiszizmem, że trzeba przez chwilę pomyśleć, aby się zorjentować, że dokonał niezwykłego wyczynu, wobec którego bledną wszelkie sportowe sztuki. Dziwne musiały przeżywać emocje bestje, zamieszkujące dżunglę, gdy rozlegało się monotonne terkotanie aparatu filmowego, podobne do głosu wielkiego świerszcza.

Najwięcej jednak niepokoju wywołał p. Giżycki wśród białych potępieńców, przebywających w piekle Gwinei, Wielkiej Wolty i Sudanu. Cóż to za galerja typow, ci traderzy i administratorzy, których opisuje Giżycki, obserwator bystry a bezlitosny. Ten doktór Thomas, zwarjowany filatelista, który poto tylko przybył do Wuagadugu, żeby łatwiej zdobywać marki kolonjalne, nawiasem mówiąc, drukowane we Francji; ten stary Spratts dla swej chudości zwany „Extra Dry", fanatyczny plantator bawełny z Arizony; Moskal Nikołajew, kierownik fermy rządowej, walący nahajem murzynów i nazywający swoją fermę bluffem, albo ów sierżant Tellier, który, jak większość „kolonjalów" z Francji rodem, marzy w brussie afrykańskiej o emeryturze, która pozwoli mu spełnić marzenie o małym domku koło Chalon, o codziennej partyjce belotte w Cafe de la gare i polowaniu na skowronki z lusterkiem. Dwaj tylko kacykowie, zresztą źle widziani — Huchard i Rocca przypominają postacie z gatunku Laperrinów, pozatem Giżycki pokazuje nam stado arriwistów. „panków", opasłych burżujów kacyków, marzących o emeryturze, demaskuje panie „kacykowe" eks - tancerki z tingel tanglów i cyrkówki, jest nieubłagany dla tępych biurokratów, dostrzega każdą plamę na afrykańskiem niebie. Chwilami sam jest o to zły na siebie — „co to za przeklęte usposobienie — widzieć w ludziach głównie ich wady i śmieszności, ich drobne manje i ambicje, jakże rozumiem Barresa, gdy ten się skarży na trapiący go całe życie głód wyższych, niecodziennych jednostek"...

Otóż to...

Gdyby pan Giżycki z tą samą bystrością dostrzegał przejawy bohaterstwa, szlachetności, ofiarności, gdyby zechciał równie bacznie przyglądać się murzynom, a choćby nielubianym przez niego misjonarzom, toby może spotkał na swej drodze niejednego „nadczłowieka". Tymczasem jakby umyślnie stara się on nie zwracać uwagi na ludzi, którzy w dalekich Afrykach ratują honor „białych". Gdzież Biali ojcowie i Białe siostry?... Wspomina o nich p. Giżycki przelotnie, jakby z niesmakiem, nie odróżniając misjonarza protestanckiego od katolika, chociaż to gruba pomyłka. Czemże bowiem różni się misjonarz metodysta czy baptysta od zwykłego komiwojażera... Jeden jedyny misjonarz Breton i to melancholijny sceptyk, a pozatem zbiegowisko awanturników, dorobkiewiczów, rosyjskich straceńców, doktorów niemających pojęcia o medycynie, administratorów nie mających pojęcia o administracji, kobiet, z których ani jedna nie zajmuje się losem czarnych, chyba tylko wtedy, gdy jej wpadnie w oko muskularny boy, z afrykańskim temperamentem... Nie wspomina p. Giżycki ani słowem o takich „nadludziach", jak ojciec Markiewicz, który w roku 1909 umarł, jak święty w Kongo, gdzie przez kilkadziesiąt lat pielęgnował chorych na śpiączkę, ani o ojcu Beyzymie, opiekunie trędowatych z Madagaskaru, o ojcu Ryłło, dobrodzieju Sudanu, o leprozerjach, przytułkach dla starców, ambulatorjach i ochronkach, w których dostaje się nietylko „trochę nauki katechizmu i dużo policzków" — jak informowała p. Giżyckiego konkubinka pewnego tradera, była wychowanka misyjnej szkoły.

Autor nie jest objektywny i dlatego książka jego nie pozostawia pełnego zadowolenia, czegoś jej nie dostaje, jest świetnie, żywo, inteligentnie napisana, ale pesymizm autora rzuca na nią cień zbyt gęsty, aby nie był sztuczny. Wstręt Giżyckiego do sparciałych Europejczyków, kompromitujących aryjską rasę w oczach ludożerców jest zrozumiały, ale gniew autora zwraca się głównie przeciwko administratorom, a tutaj powinno się grzmieć i piorunować na kapitalistów, którzy w owej Afryce poczynają sobie, jak fantastyczny krwiopijca z broszurek komunistycznych. Wampirem wyniszczającym egzotyczne kraje jest komiwojażer, wobec którego nawet kacyk w mundurze niewiele znaczy, gdyż wpływy komiwojażera sięgają centrali w Paryżu i paraliżują każde uczciwe zarządzenie.

André Gide w swej głośnej książce „Le retour du Tchad" rzucił anatemę na molocha kapitalizmu, zwanego w Afryce kompanjami leśnemi — „Compagnies Concessionnaires". Eksploatują one dawny niemiecki Kamerun. Podobno w porównaniu z tem co się dzieje w Kamerunie (dzisiejszem francuskiem Kongo) stosunki w Sudanie francuskim są idealne. Jeszcze w roku 1928-ym kompanja francuska „Du Haut Congo" posiadała monopol handlowy w kraju obejmującym około sześciu miljonów hektatów. Zdaniem Gide'a, gdy kiedyś odejdzie, to „pozostawi kraj wyciśnięty do ostatniej kropli krwi, a tubylców nędzniejszych aniżeli przed przybyciem białych". W związku z pojawieniem się książki i artykułów Gide'a w „Revue de Paris", rozpętała się na łamach prasy francuskiej polemika. Gide cytował fakty znęcania się nad murzynami, masowych masakr, głodzenia niewolników używanych do trzebienia lasów i budowania dróg, po których raz na miesiąc jeździ auto dyrektora kompanji. Chłosta, więzienie, przymusowe chodzenie w kieracie, z belką na ramionach— to były fakty powszednie... Kłócił się z Gidem dyrektor kompanji Weber, ale nie zdołał obronić honoru wielkich koncesyj, prowadzących rabunkową gospodarkę w kolonjach afrykańskich. Krytykowani przez Giżyckiego administratorzy i gubernatorzy od lat alarmują władze centralne o szkodliwości reżymu, który okazał się fatalny dla przyszłości Afryki Ekwatorjalnej. Grzechem Francji jest to, że patrzy przez palce na wyczyny drapieżnego komiwojażera. Nikt jednak nie zaprzeczy, że obok „rekinów" są w Afryce i anioły. Tymczasem Giżycki pomija albo bagatelizuje działalność tych białych, którzy są antytezą — korsarzy i tyranów.

O marnych biurokratach z Wybrzeża Kości Słoniowej, z Gwinei i Wolty rozpisuje się J. Giżycki bez końca, zato tylko parę stron poświęca krytycznym zresztą uwagom o misjonarzach, ma za złe przeorowi, że jest opasły, a świętego ojca Foucauld, brata maluczkich, patrona Sahary, nazywa krótko francuskim ajentem politycznym, którego zabili miłujący niezależność Tuaregowie.

To nie wypada. Gdy się jest tak sumiennym, prawdomównym podróżnikiem, piętnującym każdą nieuczciwość i ubolewającym, że nie widzi nigdzie jednostek wybitnych — nie wypada zbyć lekce ważącem zdaniem działalności „nadczłowieka", który walczył z bezprawiem, wykupywał murzynów z niewoli, głosił hasła chrześcijańskiego miłosierdzia i uczył białych, że należy podbijać kolonje dobrocią. Pozatem p. Giżycki popełnia nieścisłość.

Nie Tuaregowie zabili O. Foucauld, którego uważali za swego dobrodzieja, ale banda zbirów Senussistów, pod wodzą tureckiego oficera przekupionego przez Niemców. Byłam przed 3 laty w Tamanrasset — gdzie O. Foucauld zginął śmiercią męczeńską — widziałam się z Tuaregami, którzy pamiętają niezwykłego misjonarza, rozmawiałam z Ukscmem krewnym amenokala, a przyjacielem O. Foucauld — pamięć o dobroczyńcy nędzarzy nie wygasła w Hogarze. Tuaregowie i Arabowie uważają go za jedynego przedstawiciela białych, któremu należy się cześć niemal boska.

Dziwna rzecz, że p. Giżycki nie spotkał Białych Sióstr w Bamako, w Wuagadugu, ani w Bobo Dioulasso, gdzie ofiarne zakonnice mówiąc po naszemu, marnują młodość i zdrowie, opiekując się „dzikusami", których trapią ohydne tropikalne choroby, wychowują dzieci, wspomagają nędzarzy, nie gardzą trędowatymi. Nie spotkał tam widocznie „Małych służebnic Nędzarzy", rekrutujących się spośród byłych wychowanek, które wraz z siostrami okazują pomoc ubogim i nieszczęśliwym. Czemuż to p. Giżycki cytuje tylko nieprzychylną dla misjonarzy literaturę, gdy mógłby zacytować kilka faktów, które „mówią za siebie". Cóż znaczą kostyczne uwagi byłego tradera i pisarza Monfreida, o bardzo podejrzanej przeszłości, albo anglikańskiego misjonarza, a więc wroga katolików — Frazera, wobec tych tysięcy uratowanych od śmierci głodowej nędzarzy, tych starców, którzy znajdują w szpitalach i przytułkach opiekę i pomoc, tych wychowywanych przez misjonarzy dzieci murzyńskich, które zostały porzucone przez matki, skazane na całodzienną mordegę w faktorjach komiwojażerów.

Jedna leprozerja, w której rolę samarytanek pełnią misjonarki — wymowniej świadczy o tem, czem są misje dla Afryki, aniżeli wolne wnioski turystów i kupców, przejeżdżających obok takiej leprozerji — galopem.

*) J. Giżycki: „Biali i Czarni" Gebethner i Wolff.

# Z nauki i sztuki

## Literatura

— **Na warsztacie pisarzy.** Jan Wiktor kończy nową powieść. Będą to dzieje dwojga dzieci w domu i szkole na tle życia i obyczajów górali szczawnickich. Marjan Piechal napisał studjum o Norwidzie p. t. „Żywa Urna". (b.).

— **Pisarze zagraniczni na wszechrosyjskim zjeździe literackim.** Pomiędzy pisarzami zagranicznymi, zaproszonymi przez Sowiety na wszechrosyjski zjazd pisarzy znajdują się następujący autorzy: T. Dreiser, J. Dos Passos. Upt. Sinclair, H. Mann, L. Feuchtwanger, E. Kisch, R. Rolland, An. Malvaux, B. Shaw, Stef. Zweig. Niema co — dobór aż nadto charakterystyczny. (b.).

— **Obchód ku czci Orzeszkowej w Grodnie.** Grodno obchodziło uroczyście 24 rocznicę zgonu Orzeszkowej. Teatr miejski wystawił przeróbkę sceniczną z „Nad Niemnem", p. t. „Legenda o Bohatyrowiczach". (b.).

— **„Jeremjasz" Stef. Zweiga.** Teatr de l'Ambigu, w Paryżu, wystawia „Jeremjasza" — tragedję Stef. Zweiga. Autor przybędzie na premjerę. (b).

— **Pomnik Loti'ego na Tahiti.** W Papetee, na Tahiti, będzie wzniesiony w dniu 14 lipca wielki pomnik ku czci Piotra Loti, głośnego autora powieści egzotycznych. (b).

## Teatr

— **Nowe sztuki polskie.** Teatr kameralny Iwo Galla w Częstochowie wystawił sztukę Jerzego Zawieyskiego p. t. „Człowiek jest niepotrzebny". Zawieyski w sztuce, którą zadebjutował na scenie, spróbował poprowadzić niejako dalszy ciąg głośnego utworu Żeromskiego „Uciekła mi przepióreczka..." (b).

— **Sztuka Szaniawskiego w Londynie.** Londyński teatr eksperymentalny wystawił w tłumaczeniu Ruth Allen sztukę Jerzego Szaniawskiego „Adwokat i róże". (b).

## Muzyka

— **Opera Respighi'ego w Paryżu.** Znany kompozytor włoski, Respighi, przybywa do Paryża, ażeby poprowadzić orkiestrę na premjerze swej opery „Marja Egipcjanka" w Operze Komicznej. (b).

## Różne

— **Dzieło o wyprawie „Czeluskina".** Zapowiadane jest ukazanie się równocześnie w kilku językach obszernego dzieła odtwarzającego dzieje wyprawy „Czeluskina". Nad redakcją tego zbiorowego wydawnictwa czuwa Tretjakow. (b).

---

ny... Po dłuższem szukaniu sprowadzono majstra. Zaczął dłubać w zamku, naraz:

— Pierony! Nowiutkie dłuto ukrychło się!

Kto mu za to zwróci? Kowal zaczął się żalić, że od pół roku pieniędzy nie widział, i oświadczył, że nie otworzy inaczej, niż w obecności pana dyrektora, bo potem nikt mu nie zapłaci za narzędzia, a „on ostanie głupi siedzieć". Wtedy pan Szypułka wrócił do kasy, oświadczając, że musi przeszukać cały budynek, bo pan dyrektor — wiadomo — zawsze się ukrywa w pokoju przed komornikami.

Chwila była groźna: kasjerka ledwie zdołała ostrzec dyrektora, pan Sikora tylko zdążył zamknąć drzwi na klucz i pobiegnąć naokoło do łazienki, rozebrać się i puścić prysznic, gdy rozległo się pukanie do drzwi:

— Panie dyrektorze — w imię prawa...

Na to drzwi otwarły się szeroko i ukazała się barczysta obrośnięta postać w adamowym stroju, ociekająca wodą, a potężna łapa podsunęła pod nos pana Szypułki jakiś papier.

— Patrz pon!

Była to „umowa służbowa". Punkt 11-ty, podkreślony czerwonym ołówkiem, opiewał: „Panu Sikorze przysługuje prawo używania łazienki w budynku administracyjnym oraz wanny raz na tydzień, w dniu dowolnie obranym".

— Ja się kąpię, to stoi w moim kontrakcie — ryczał rozsierdzony golas, — nie pozwolę, żeby mi ale jeden przeszkodził się kąpać, ja sobie takie coś mogę gładko wyprosić, nawet choćby mi sam dziedzic kazał, to ja nie potrzebuje z wanny wychodzić!

I zatrzasnął drzwi przed nosem zdumionego komornika.

W chwilę później stanęła przed kasą otwarta taksówka, a w niej dwóch ludzi w skórzanych kurtkach. Byli to pan Blaszanka, prokurent firmy Zjednoczone Grajcarki, oraz pan Zastawnik. adwokat z miasteczka, który z polecenia kolegi z Poznania podjął się asystować egzekucji. Obaj od dwóch godzin czekali w Smardzewicach, dręczeni najgorszemi obawami i wzajemną nieufnością. Adwokat dostał sto złotych zaliczki, a miał obiecane drugie tyle, ale dopiero, gdy przetarg dojdzie do skutku, co było bardzo wątpliwe, bo z Głodową Wólką nigdy nie wiedziałeś, na czem się skończy. Prokurent niedowierzał na grosz adwokatowi, bał się mianowicie, by ten nie opuścił go, rezygnując nibyto z reszty honorarjum, na to, by późnicj o nie się dopominać. Ale i adwokat przekonany był, że chcą go wystrychnąć na dudka; wyobrażał sobie, że dla oszczędzenia stu złotych prokurent gotów jest odstąpić od egzekucji; postanowił też nie opuszczać na krok pana Blaszanki, by ten nie uciekł z uzyskanemi z przetargu pieniędzmi, bez uregulowania go. Nad wszystkiem zaś unosiła się obawa, że Ubezpieczalnia Krajowa zjawi się w ostatniej chwili i przyłączy do licytacji.

Wypadki potwierdzały najgorsze przewidywania. Przedewszystkiem traktor, zajęty w Smardzewicach, nie znajdował się tam, ale na sąsiednim folwarku, nibyto dla naprawy. Była to naturalnie sztuczka tego przeklętego Sikory. Posłano komornika po maszynę. Nadeszła dziesiąta, nieliczni kupcy zaczęli się niecierpliwić, a traktora ani widu, ani słychu. Wreszcie pojechali obaj do Wólki, żeby przyśpieszyć akcję. To, co zobaczyli, napełniło ich oburzeniem. Ten mazgaj Szypułka od dwóch godzin daje się za nos wodzić, i nie otworzył jeszcze garażu!

— Jeżeli za dziesięć minut klucz się nie znajdzie, otwieramy drzwi przemocą — oświadczył prokurent kasjerce.

Po chwili obaj szoferzy, zbrojni w łomy i inne żelastwo, natarli na szopę; w drugiej linji szedł prokurent z teczką; zamykał orszak adwokat z kodeksem postępowania egzekucyjnego w ręku. Otwarcie drzwi i wypchnięcie traktora nadwór było dziełem jednej chwili. Pozostawało przewiezienie zdobyczy na miejsce przetargu.

Tu jednak wyłoniły się nowe trudności. Licytacja była wyznaczona na dziesiątą, a teraz dochodzi jedenasta; nim maszyna stanie w Smardzewicach, będzie południe, i nikogo z kupujących się nie zastanie. Pozatem pan Szypułka ma dziś szereg innych spraw w terenie, i wszystkie następne godziny zajęte... Licytację dzisiejszą można od biedy prowadzić od rana do wieczora; potem jednak trzebaby ogłosić nowy termin. Po dłuższych naradach komornik dał się uprosić: przetarg odbędzie się dziś o godz. 18-ej w Smardzewicach; jako jedyni nabywcy stanie firma Zjednoczone Grajcarki. Co do traktoru, to nie można go zostawiać na łasce pana Sikory. Po krótkiej naradzie i rozmaitych próbach limuzyna komornika ruszyła przodem; za nią posuwała się taksówka pana Blaszanki, a na końcu przywiązany na łańcuchu, z głuchem dudnieniem toczył się zdobyty traktor. Cała ta karawana wysunęła się z podwórza i ku zdumieniu mieszkańców wioski, sunęła powoli i z hałasem szosą do Smardzewic.

— Traktor przepadł, garaż rozbity... — lamentowała panna Emma na widok pana Sikory, wchodzącego do kasy.

— Nic jeszcze nie przepadło! Licytacja im przepadła na przedpołudnie, ot co! Pamiętaj pani moje słowa: ino przeciągnąć! ino przeciągnąć! A to co znowu?

Pytanie odnosiło się do czarnego, błyszczącego świeżym lakierem landoletu, który wysunął się zza parkanu i zajechał przed kasę. Kasjerka wyjrzała:

— To z Urzędu Skarbowego.

Do kasy wszedł elegancki pan, ubrany w ślicznie skrojony granatowy mundur ze złotemi wyłogami i taką samą czapkę z daszkiem: kasjerce przypomniał, jako żywo kapitana jachtu z filmu, oglądanego przed miesiącem. Widać było, że w hierarchji egzekutorów zajmuje stanowisko naczelne — ani go porównać z niezdarnym Szypułką. Szybko wyłożył cel wizyty. Gruntowy, dochodowy, majątkowy, karne procenty za zwłokę, koszty: upomnień, zajęć, przetargów; pozatem z ramienia samorządu dodatki komunalne do powyższych podatków państwowych i znów od nich te same procenty i koszty; pozatem z ramienia ubezpieczeń społecznych Kasa Chorych, ubezpieczenie pracowników umysłowych, ubezpieczenie od wypadków w rolnictwie, ubezpieczenie od gradu, ubezpieczenie od ognia i jeszcze raz koszty i odsetki — wszystko razem punktualnie obliczone na 22 349,80 złotych.

— Na powyższą sumę mam dokonać zajęcia — zakończył. — Pozatem w sprawie Ubezpieczalni Krajowej — pretensja uprzywilejowana, — mam przyłączyć się do dzisiejszej licytacji traktora.

Pan Sikora odpowiedział, że przecież stogi wymłócone, śpichrze puste, więc niema co zajmować; co do traktora, to właśnie przed chwilą komornik sądowy zabrał go stąd do Smardzewic. Ale pan Rozdzielnik — tak brzmiało nazwisko egzekutora — nie dał się zbić z tropu. Oświadczył, że od dziś wolno zajmować zboże na pniu — już tylko 4 tygodnie dzieli nas od żniw, więc on ma zamiar dokonać zajęcia pól. Co do traktora, to powinien on znajdować się na miejscu, zachodzi tu wypadek rozmyślnego usunięcia przedmiotu zajętego, za który pan Sikora będzie osobiście odpowiedzialny (tu zacytował paragrafy, kilka tysięcy złotych kary i kilka lat więzienia). Zakończył żądając, by go zawieziono na pola.

Pan Sikora nie był przygotowany na to i zdawało się, że tym razem stracił głowę. Machinalnie wydał rozkaz, by zajechała bryczka. Musi objechać majątek z egzekutorem.

Właśnie zadzwoniono na południe, gdy wpadł zmieszany praktykant:

— Panie dyrektorze, wszyscy ludzie przed kasą... mówią, że pan dyrektor kazał im przyjść na południe po pieniądze... włódarze stoją w sieni.

Ale pan Sikora miał już dosyć tego wszystkiego.

— A niech idą sobie do domu... niech strajkują... niech to wszystko

(Dalszy ciąg na następnej stronie)

Zdzisław Broncel

# „Ballady bohaterskie"

„Ballady bohaterskie" *) Kazimiery Iłłakowiczówny nie mają tonu heroicznego. Są to opowieści, pociągające nas nie siłą, patosem, szkarłatem, lecz wdziękiem. Iłłakowiczówna nazwała tu balladami proste opowiadania, ujęte w wiersz skąpy, oszczędny, spokojny w rytmie, ubiegający się o zwyczajność słowa i zwyczajność wzruszenia.

Zdawałoby się, że temat zbliży poetkę ku epice. Nie, po dawnemu jest to kobiecy liryzm, — patrzenie na zdarzenia wybrane z życia Warneńczyka, Zygmunta Augusta i Barbary, Czarnieckiego tak, jak na szczęśliwe i nieszczęśliwe przypadki ludzkie. Temat ballad—zdaje się—nie był dla Iłłakowiczówny tematem h i s t o r y c z n y m. Raczej b a ś n i o w y m, l e g e n d a r n y m. A że bajka czyni bohatera zarazem i cudowniejszym i bardziej ludzkim, niż go pokazuje historja, więc w balladach Iłłakowiczówny odezwał się ton podwójny: baśniowego obrazka i uwspółcześniającego liryzmu.

Czasem obydwa tony splatają się, czasem brzmią oddzielnie i jedną z najważniejszych zalet cyklu jest trafność w wyborze tonu. Więc przedewszystkiem ów „liryzm uwspółcześniający". Określenie brzmi trochę niejasno. Idzie o to, że jeżeli wiersz liryczny wydobędzie motyw uczuciowy, np.: tęsknotę Zygmunta Augusta za Barbarą, pomijając sztafaż akcesorjów historycznych, to wtedy Zygmunt August jest dla nas jakgdyby kimś, kto żyje, tęskni, i kocha dziś, a nie przed wiekami. Mógłby to być już niekoniecznie królewski kochanek. Wiersz ma swoją wagę przez samą treść uczuciową, bez wspomagania się blaskiem króla, o którym mówi.

Pięknym przykładem służy „Śmierć Augusta":

Dochowałem ci wiary, najmilsza,
ponad całe moje życie najbielsza...
Jużem jest blisko, blisko...
Głośna na mnie w narodzie skarga,
żem przedwcześnie życie potargał
i nic nie zyskał.

Jakaż myśl moją mękę zrozumie!
Bom ten ogień gasił i tłumił
prawem i lewem.

Stałem sam na szczycie wspaniałym,
w krwi gorącej cały gorzałem
jak suche drzewo.
Byłaś ze mną w ogni mych lecie...
Bóg wyrokiem całość mą przeciął,
wziął cię odemnie.

Jam cię szukał — wszystkiem się [świadczę!
w gromkiem szczęściu, w niemej [rozpaczy,
w słońcu i w ciemnie.

Szłaś przedemną zawsze ta sama
i jam ślubów nigdy nie złamał
onych Wileńskich.

Przyjm mię teraz w grzechów mych [zmazie,
bom przenigdy cię nie obraził
Basieńko!

Jak trafnie liryzm łączy się z wierszami o Zygm. Auguście i Barbarze, tak równie właściwie Władysław Warneńczyk występuje tylko w obrazie, w typowym wizerunku pięknego młodzieńca, jadącego na łów w otoczeniu paniąt. I, jak właśnie powinno być w baśni, spotyka go cyganka w chustce czerwonej:

Patrzała mu w oczy — aż się orszak [zląkł,
nie wróżyła z kart, z wody, ani z rąk.
Zaniosła się płaczem, jak trzcina się [zegnie:
„Och, jak mi cię żal, rycerzu, że [polegniesz
tak wcześnie!"

„Ballady bohaterskie" mają dużą kunsztowność asonansu i kunsztowność rytmu. Strofka, przytoczona z „Łowów króla Władysława", zamyka się spadającym, gasnącym rytmem i milknie w wygłosie krótkiego ostatniego wiersza: „tak wcześnie!" Brzmi on, jak uderzenie w lutnię, towarzyszącą opowiadaczowi baśni. W cyklu „Czarniecki" jest jeden wiersz, który wprost wywołuje złudzenie dźwięku strun i przyśpiewu:

Nad morzem postrzępionem, płaskiem
leżą lotne, biało - żółte piaski
w dalekiej Danji...

Wyrasta trawa — szara, ostra jak [szabla —
sroży się moc wichru, Boża czy też [djabła,
w dalekiej Danji...
Tam Król Duński od Skaldów [sławiony
przez Szwedów omal nie pozbył [korony
w dalekiej Danji..."

Ażeby dobrze zrozumieć, jak bardzo Iłłakowiczówna dąży do oddania wspomnienia historycznego zapomocą opowieści, obrazka, warto przytoczyć choćby początek czterowierszów o „Kachnie Czarnieckiej". Są one bardzo typowe dla całości „Ballad". Nie wybrały sobie za temat ważnej sprawy, przeciwnie — drobiazg, scenkę, ale właśnie przez to, że opisują rzecz powszednią, nadają jej prawdziwość, sprawiają, że wierzy się, iż istotnie takie miał z córką kłopoty wojewoda kijowski. To znów zbliża nas do bohatera, razem zaś z tem świetność imienia utrzymuje należyty dystans i wiersz jest wtedy, jak fragment podania, które pobłażliwie, z uśmiechem wybiera z patetycznego życia moment, w którym bohater do wszystkich innych ludzi jest podobny. Odczuwamy to nie jako spowszednienie bohatera, ale jako owianie poezją rzeczy choćby i najpospolitszej. Jest w „Iljadzie" ustęp, gdy Achilles przyrządza strawę — krytycy pseudo-klasyczni atakowali to miejsce za rzekomą wulgarność i niepoetyczność. Oczywiście, nie miało ono patosu, lecz miało za to urok bezpośredniości.

Podobnie jest u Iłłakowiczówny. Wdzięk jest nawet zawsze, próba zaś patosu nieraz zawodzi. Wróćmy jednak do „Kachny Czarnieckiej".

Rycerska urodziła cię Kachna
nie chciała prząść jak Arachne;
kazała jej matka prząść,
nie dawała na konia siąść.

Ona o rannej godzinie
już była przy stadninie,
w złocistych cała puklach
przed tabunem gnała na oklep.

Śmiał się Wojewoda Kijowski:
„Oj żono, masz z nią troski!"
Taka była i już od dziecka
wojewodzianka Czarniecka.

„Ballady bohaterskie" zawierają również dwa cykle współczesne: „Żeligowski" i „Wiersze belwederskie".

Wśród „Wierszy belwederskich" najbliższe będą wszystkim „List babuleńki" i „Legenda o Marysi w Belwederze", podczas gdy pozostałe rażą albo błahością, albo znów uniesieniem niemal religijnem.

Spotyka je wówczas rzecz najgorsza dla wiersza. Patrzymy na nie jako, na wiązankę słów, jak na efektowne popisy formy, ale nie dbamy o ich treść. Treść pozostaje obca, gdyż uczucie autorki nie pokrywa się z naszem, ani też nie potrafi w nas podobnych uczuć wywołać. Piłsudski jest dziś pozycją polityki. Jest teraźniejszością, w której równie żywo pamięta się o błędach, jak i o zasługach. Na nasz stosunek do Piłsudskiego nie można przecież (nawet zakładając, że jest się zwolennikiem jego polityki) patrzeć tak, jak na stosunek do Warneńczyka. Gdy myślimy o Warnie, to klęska jest dla nas rapsodem bohaterskim, a nie następstwem błędu politycznego. Właśnie odwrotnie, niż byłoby z Piłsudskim. Tu, do balladowego ujęcia dojrzewa dopiero okres legjonów.

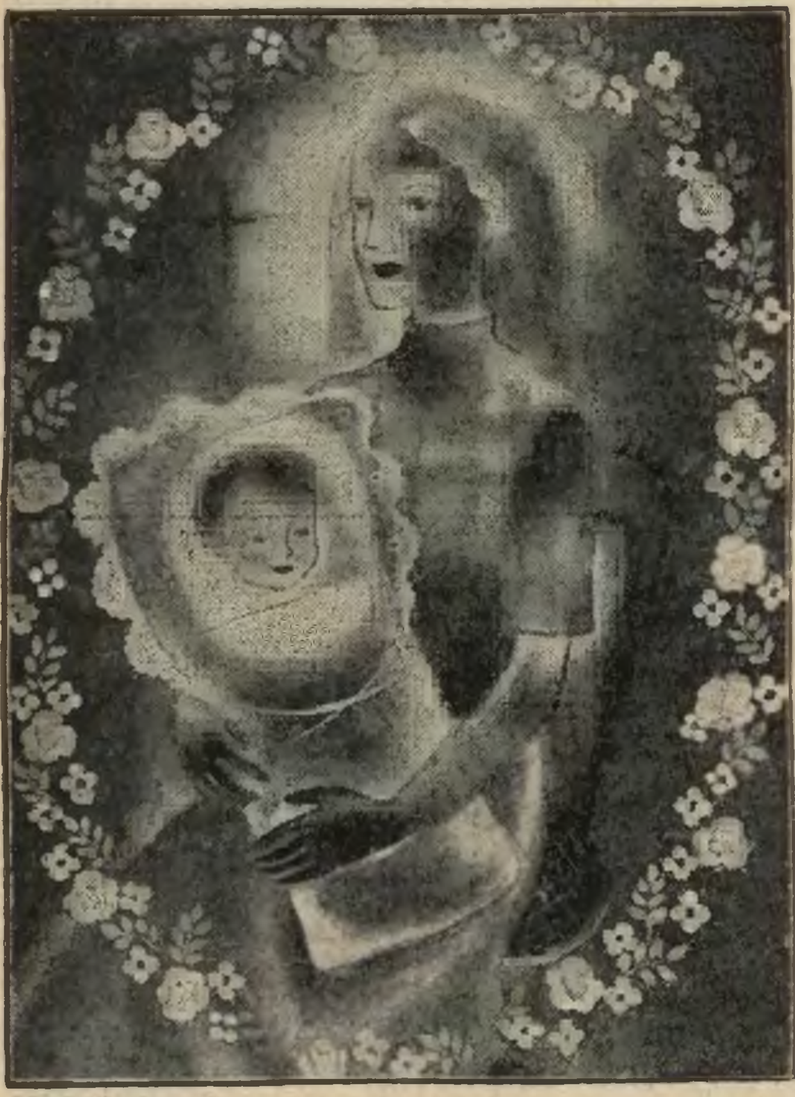
Tom Iłłakowiczówny składa się z trzech części. Po „Balladach bohaterskich" idą „Ballady zwyczajne" i „Wiersze doraźne". „Ballady zwyczajne" rozpoczynają się cyklem „Służące". Charakterystyczne, że niejednokrotnie nie znaleźlibyśmy różnic między tonem niektórych wierszy „Ballad bohaterskich", a fragmentami „Służących". To samo upoetycznianie drobnych zdarzeń i sentymentalno - żartobliwy stosunek do tematu, co np. w wierszach o Żeligowskim.

Owo upoetycznianie wywołało nawet nieoczekiwane protesty. Grono pań nadesłało do redakcji krakowskiego „Czasu" list występujący przeciw „Kolendzie Marjanny" — historji wigilijnej, w której w nagrodę za opiekę nad ubogiem dzieckiem przychodzi do Marjanny Chrystus. List atakuje idealizowanie przeróżnych Wikci, Tekli, Hań, Małgosi, czy Agatek. Delikatne wiersze, próba przypomnienia, że w tradycyjnym garkotłuku tkwi człowiek, wywołały jakieś dziwne publiczne wystąpienie, jakgdyby owym paniom z konserwatywnego „Czasu" przynosiło ujmę, że pracują u nich nie automaty, ale żywe Wikcie, Kasie i że ktoś dopatrzył się w nich poezji.

Są to wszystko wiersze właściwe Iłłakowiczównie. Proste, oparte głównie na efekcie takiego użycia słowa, że prostota jest równocześnie trafnością. Zwyczajność pozwala w słowie odnaleźć nowe wartości, asonans zdaje się podkreślać pospolitość formy, a jest subtelną wirtuozerją techniki wiersza. Coprawda niektóre, zwłaszcza z „Wierszy doraźnych" rażą pewną ckliwością i rozwodnieniem i sentymentalnemi pomysłami, ale obok nich są dyskretne malowidła, jak pierwszy wiersz z cyklu „Don Carlosa", albo piękne liryki, jak „Kamienie wileńskie".

*) KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA: „Ballady bohaterskie", 1934. Lwów. Wyd. Ossolineum.

## Z wystawy sztuki religijnej w Częstochowie



Halina Krüger — Madonna

## Z wystawy sztuki religijnej w Częstochowie



Aleksander Rak — Witraż

jasne pierony spalą! Powiedz im pan, nie, ja sam im powiem — i już było słychać, jak grzmiał za drzwiami — pieniędzy niema, nie będzie jutro, ani za rok! Właśnie przyjechał komornik i zajmuje całe żniwa. Nie dostaniemy z tego ani ziarnka!

I trzasnął drzwiami, aż tynk się posypał. Po chwili do kasy weszła wylękniona Jagusia.

— Kónie pojechały... pan dyrektor nie pojedzie w pole i prosi, coby pón pojechał sam a fuszpan pola będzie pokazować.

Nigdy nie ustalono dokładnie, co się potem stało. Egzuktor wyszedł nadwór, a jednocześnie rozległ się tam niezmierny wrzask, ryk i pisk, i cały tłum potoczył się w jedną stronę. Gdy kasjerka wybiegła przed dom, samochód znajdował się już za bramą. Obok stał pan Rozdzielnik i wołał:

— Ja sprowadzę policję, ja was wszystkich nauczę, to jest obraza w urzędowaniu!

Na wzmiankę o policji tłum rozbiegł się i na podwórzu zrobiła się zwykła popołudniowa pustka i cisza, w której słychać było tylko warczenie oddalającego się samochodu.

Dzwonek popołudniowy zastał kasjerkę wygrzewającą się na słońcu. Po chwili ukazał się pan Sikora. Przeżuwał jeszcze resztki wzburzenia.

— Trzydzieści lat pracuję po majątkach, ale takiej bryi jeszcze nie widziałem... Tu ludzie, tam traktor, tu podatki... zboże na pniu zajmują... do czego my wszyscy przyjdziemy?

Skolei zjawił się Serdaczek. Praktykant był uradowany, niósł w ręku próbówkę.

— Panie dyrektorze, a ot moje doświadczenie z glebą udało się! Toż proszę spojrzeć!

— Ady épij pon ten paskud!! — huknął dyrektor, którego irytowały naukowe skłonności praktykanta. — My tu mamy wcale inne doświadczenia... Nie widzisz pon, co to się wyrabia?

— Co się ma dziać? — ujęła się panna Emma. — Chciał pan przeciągać, to i przeciągnęli panu ludzie zajęcie żniw...

— Pani się nie śmiej, tu niema nic do śmiechu! — obruszył się p. Sikora. — Napad na komornika, policja, to są wcale inne rzeczy, niż te, co my dotąd robili... My już są jedną nogą w Rawiczu...

Poczem, zniżając głos, dodał:

— Ani mnie, ani nikogo przy tem nie było. Pani też nic nie widziałaś, bo byłaś w kasie. Niech się ludzie sami klamkują.

Zgodnie z zapowiedzią ludzie popołudniu nie stanęli do pracy. Dyrektor pojechał do miasteczka, twierdząc, że musi przygotować się do wieczornej licytacji traktora. Pan Serdaczek oddał się bez przeszkód doświadczeniom gleboznawczym. Panna Emma została sama w kasie. Około 4-ej zatelefonował niespodziewanie pan Antoni Węgorzewski, kazał powiedzieć dyrektorowi, że „wiadoma sprawa" pomyślnie załatwiona i żeby mu przysłać konie na dziewiątą do miasta powiatowego. Co to za sprawa, tego panna Emma ani rusz nie mogła się domyślić.

Reszta popołudnia upłynęła spokojnie, jeśli nie liczyć wizyty woźnego z wójtostwa. Skromny ten człowiek, w przeciwieństwie do swych poprzedników, przybył na rowerze, pracował jednak równie sumiennie: wszedł do dworu i opisał umeblowanie „za składkę wójtowską, za spółkę drenarską, za podatek szkolny, za podatek od polowania, od psów i od broni palnej". Dopiero około pół do ósmej zatrąbił samochód i przed kasą wysiedli pan Rozdzielnik w towarzystwie dwóch policjantów. Egzekutor był nadzwyczaj podniecony, głośno opowiadał o niebezpieczeństwie życia, w jakiem się znalazł i żądał, by na początek aresztować dyrektora, kasjerkę i jeszcze kilka osób. Okazało się jednak, że dyrektor wyjechał w nieznanym kierunku, kasjerka zaś do 7-mej musi pilnować telefonów. Rozstrzygnął sprawę przodownik: od początku odnosił się on dość chłodno od egzekutora, a teraz oświadczył mu wprost, żeby zamiast tyle opowiadać, zabrał się nareszcie do swych czynności, nim zmrok zapadnie, bo policja jutro ma co innego do roboty.

Pan Rozdzielnik objechał wobec tego pola w towarzystwie praktykanta, a potem jeszcze skoczył do Smardzewic, by wziąć udział w licytacji nieszczęsnego traktora. Gdy wrócił, nie zastał już policjantów: mieli duży obchód tego dnia i kazali powiedzieć egzekutorowi, żeby nie czekał na nich. Nie pozostało mu nic innego, jak sporządzić protokuł zajęcia i odjechać.

Kasjerka wstawała od kolacji, gdy wrócił pan Sikora ze Smardzewic, cały jeszcze w ogniach walki. Licytacja była długa i zacięta. Blaszanka chciał nabyć traktor zabczcen, tak, by pokrył tylko część pretensji, i żeby duża jej część jeszcze pozostała. Sikora przywiózł kilka osób, które podbijały ceny i tak kierowały licytacją, że nietylko pretensja uległa skreśleniu, ale jeszcze pozostała nadwyżka 100 zł., którą komornik wręczył dłużnikowi. Na tę chwilę nadjechał pan Rozdzielnik i w imieniu Ubezpieczalni Krajowej zażądał unieważnienia całej licytacji. Skończyło się na tem, że prokurent, adwokat, i obaj komornicy pokłócili się i nawymyślali sobie od ostatnich słów. Adwokat nie dostał pieniędzy i skarży Zjednoczone Grajcarki, pan Rozdzielnik w imieniu Ubezpieczalni Krajowej wnosi zażalenia na czynności komornika sądowego, ten ostatni zaś skarży wszystkich o obelgi.

— Tych stu złotych zaś — zakończył pan Sikora — com do kasy przywiózł, nikt nam nie odbierze, dawno tyle pieniędzy nie oglądałem.

Wreszcie noc zapadła nad Głodową Wólką, która wyglądała jak zdobyta forteca. Obrona była waleczna, ale klęska niemniej zupełna: Traktor sprzedany, żniwa zajęte na pniu meble w dworze opisane, wreszcie strajk robotników, — oto był bilans tego pamiętnego dnia.

*

Stróż nocny wygwizdał jedenastą, gdy zaturkotał powóz na szosie, przejechał bramę i zatrzymał się przed dworem. To pan Węgorzewski wrócił z miasteczka.

*

Nazajutrz rano pani Klementyna nie kazała budzić bratanka.

— I tak dowie się nieborak na czas o wszystkiem.

Toteż dopiero o dziesiątej rano zjawił się dziedzic w kasie. Pan Sikora zreferował szczegółowo wczorajsze wypadki, poczem spojrzał pytająco na szefa. Pan Węgorzewski wydobył jakiś urzędowy papier i położył na stole.

— Czytaj pan — rzekł.

Dyrektor nałożył okulary i zaczął od słów „Uchwała Sądu Grodzkiego" aż dojechał do miejsca: „Sąd uchwalił: 1) rozciągnąć zarząd przymusowy nad nieruchomością Głodowa Wólka i Smardzewice, 2) zarząd przymusowy wchodzi w życie z dniem 12 czerwca 1932 o godz. 16-ej, o której umieszczono wzmiankę o zarządzie przymusowym w księdze wieczystej".

— Teraz — rzekł dziedzic — niech pani pokaże protokuł zajęcia żniw. Tak, kiedy to zostało dokonane? Wczoraj o siódmej, a więc... więc już po ustanowieniu zarządu i jako takie będzie uchylone! Co do mebli w dworze, to należą one przecież do pani Klementyny, która wniesie skargę interwencyjną.

Teraz wszyscy zrozumieli, że dzień wczorajszy, pełen klęsk i trwogi, był jednocześnie dniem triumfu i ocalenia.

Po wyjściu dziedzica pan Sikora spojrzał na kasjerkę:

— No, a naco by się ten cały papier przydał, gdyby Rozdzielnik był zajął żniwa za pierwszym razem o dwunastej? Nie miałem ja racji, że zawsze ino przeciągnąć?

Panna Emma miała ochotę odpowiedzieć, że pan dyrektor wczoraj mówił zupełnie co innego o tej sprawie, ale nie chciała zamącać świątecznego nastroju i nic nie odpowiedziała.